Nr. 19. **Kuryerek Poznański.** Rok I.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień. w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalnie wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 17. Czerwca 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego. ulica Strzelecka Nr. 1.

Pomnik bitwy z Tatarami pod Sokalem roku 1519.

„O gdybyśmy umieli własne dzieje czytać,
I każdą garść téj ziemi o przeszłość zapytać;
Ach z jakążby miłością rzekła nam o sobie,
O życiu pradziadów i pradziadów grobie“.

Ujmij w garść ziemi, pociśniéj ją, a gdy nietryśnie krew z niéj, lub łza boleści. to nie polska ziemia. Gęsto też rozsiane po niéj figury i pomniki chwały naszéj i dawnéj boleści naszéj. Tu pomnik murowany, z którego czas zrzuca cegiełkę po cegiełce w zapomnienie, a nie znajdzie się ręka, coby je podniosła i z czcią i dumą przeszłości naszéj wielkiéj, świetnéj, obroną wiary naszéj świętéj i ojczyzny ukochanéj, znowu na dawne miejsce położyła — tam krzyż lub mogiła z ziemi usypana, co kryje w sobie kości synów swoich, że ją tak ukochali i w obronie jéj życie swe oddali. I te pamiątki smutku i boleści naszéj szanować powinniśmy, gdyż one żywiéj i goręciéj przemawiają do serc prawych synów, niż uczone księgi. i wiodą do ofiar poświęcenia bez granic.

w boju legnie. narodowi miły.
ieje ludzi, człek sypie mogiły“.

Lecz ileż to pomników, co wieki przetrwały, znikło już z powierzchni ziemi na wieczne zapomnienie bez śladu; ileż to mogił już rozoranych, a rólnik spokojny prując lemieszem te miejsca, rusza w Bogu ległe kości, a ilu to czeka podobna przeszłość, wieczna zagłada. Lepiéj posadzić na tém miejscu miarkę kartofli, bo te dadzą się przepalić na wódkę, a za wódkę będą pieniądze — niż cierpieć na obszarze pól swoich bezkorzystne pagórki. mówią niektórzy.

„Lecz dzieje przodków, o to krwawa praca!
A kto puściznę dziadów marnotrawi
I z grobów rusza w Bogu ległe kości;
Jak ptak, co kala gniazdo, się osławi,
I miasto życia, poczyna wiek czczości“.

Dla takich nie piszę, i po cóż tam po piśmie, gdzie serce z kamienia i gdzie sama istota rzeczy niepopchnie do czynu i ofiary.

Wspomnę tu tylko o pomniku w okolicy Sokala, od południa za Poturzycami na pagórku, bardzo starym przez wieki zszarzałym, dziś znacznie pochylonym ku upadku, postawionym na pamiatkę klęski poniesionéj w obronie braci ujętych w niewolę przez Tatarów i śmierci bohaterskiéj Fryderyejusza Herburta.

Działo się to za panowania Zygmunta I., króla polskiego, kiedy to czerń tatarska chcąc powetować klęskę zadaną im roku 1516go przez Marcina Kamienieckiego wojewodę podolskiego pod Trembowlą, by odebrać łup i jeńców wtedy im wydartych, za namową W. kniazia Wasyla wpadli roku 1519 w liczbie około 80,000 na Ruś, a popaliwszy w pochodzie swoim miasta i sioła, z ogromnym łupem i mnóstwem zabranego ludu, których cięższa od śmierci czekała niewola tatarska, stanęli taborem po lewéj stronie Bugu pod miasteczkiem Sokalem, złupiwszy i spaliwszy go wprzód do szczętu, sposobili się do przechodu przez rzekę w zamiarze dalszego plądrowania kraju. Nadciągające na odsiecz rycerstwo polskie pod wodzą Konstantego księcia Janowicza z Ostroga (Ostrogskiego), pokazało się na prawéj stronie Bugu.

Konstanty Ostrogski mimo swéj krewkości rycerskiéj, widząc że naszego wojska nie było więcéj jak 5,000. a Tatarów do 80,000, radził rotmistrzom, aby się nieprzeprawiali przez rzekę, lecz żeby czekali, aż się Tatarzy zaczną częściami przeprawiać; lecz młodzi i niedoświadczeńsi pałając żądzą potykania się jak najrychlejszego z Tatarami, jęli to przyganiać hetmanowi, bojaźń mu przypisując i zazdrość, jakoby im młodszym téj sławy życzyć niechciał. Konstanty, kiedy przedstawiania jego i przestrogi nabyte w ciągłych utarczkach z Tatarami nieodniosły skutku pożądanego i owszem nieposłuszeństwo w młodem rycerstwie się zwiększało, rozgniewany siadł na koń a za nim pierwsze hufce polskie jęły się przez Bug przeprawiać.

Na lewéj stronie rzeki. w miejscu gdzie nasi wysiadali, było pogorzelisko miasta Sokała, a że o dołach i piwnicach z lekka poprzykrywanych i ziemią przysypanych nic niewiedzieli, poczęli do tychże wpadać, a Tatarzy napadłszy ich, gęsto z łuków do nich strzelali, niedając im się ustawić w porządku i tak częściowo o wielkie straty naszych przyprawili. Widząc to Konstanty, przyspiesza przeprawę, a całą siłą na Tatarów uderzając, srogą bitwę z niemi uczynił. Legło Tatarów do 4,000, a Polaków i Litwy do 1,200, co było dla naszych przyzwyczajonych z małemi stratami gromić nieprzeliczone zastępy tatarskie, stratą niesłychaną. Stało się to 2go Sierpnia 1519 roku.

Porażkę wywołał upór młodych ludzi i niesłuchanie starszych. Między innymi najwięcéj winowano Fryderycjusza Herburta, który był wielkiego serca lecz dziwnie chciwy do potykania się. Tenże widząc upadek naszych, niestrwożył się bynajmniéj, a żywot swój za nic sobie ważąc, nie spełniwszy go do końca jak na rycerza polskiego obrońcy wiary przystało, zachęcając drugich swoim przykładem do poświęcenia woła: „Boże! tego niedaj, abych ja przy méj miléj braci gardła nie mógł dać“, poczem rozpuściwszy konia swego w skoku, wpadł między tłum Tatarów uchodzących z ludem i łupem.

Gdzie błysnął miecz jego z wizerunkiem Najśw. Panienki, tam potoczył się łeb tatarski z konia bełkocząc językiem i łypiąc oczyma. Bił się z niemi tak długo, dopóki mógł władać sobą, i niemało łbów postrącał z tułuwów tatarskich, aż nareszcie pokaleczony i ściśniony, kiedy już omdlały ręką władnąć nie mógł, został w drobne kawałki rozsiekany.

Na tę smutną pamiątkę postawiono na tém miejscu figurę murowaną z napisem i malowidłem, którego dzisiaj już nieznać, a która wraz z innemi nierównie staremi znajdującemi się w okolicach Sokala, chyli się ku upadkowi.

Pogadanka.

„Czy pan Jan pali cygaro?“ zapytałem pewnego dnia żony jednego z mych najlepszych przyjaciół. —

„Nie wiem,“ odpowiedziała zagadniona, widząc zaś moje zadziwienie dodała jeszcze: „nie pali on bowiem nigdy w mojéj obecności a zatem niewiem czy lubi palić lub nie. Ja: bo nienawidzę cygara — powiedziałam to już stanowczo będąc jeszcze dziewczyną, a chociaż mój mąż od onego czasu stracił swe ciemne kędziory to przecież nie zaniedbał dawnéj grzeczności dla mnie i wystrzega się wszystkiego co mi jest niemiłem.“

„Czy doprawdy jesteś pani tak niewzruszenie zawziętą przeciw temu wonnemu wynalazkowi karaibów? przecież jest wielka różnica pomiędzy cygarem a cygarem.“

„Dobre lub złe — cygara są wszystkie nas kobiet najniebezpieczniejszemi rywalkami. Uważ pan tylko niecierpliwość, z którą nasi nawet jeszcze bardzo młodzi ludzie oczekują końca obiadów lub wieczerzy ażeby się udać do osobnych pokoi, szybkość, z którą już na schodach zapalają swe imperiałki etc.“ —

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

„Zadziwia pana moja szczegółowa znajomość ich,“ mówiła daléj żartobliwie pani Janowa, „a przecież trzeba znać imiona swych nieprzyjaciół. Prawda, że kiedy czasem wybieram się z domu a mąż mój prosi mnie o pozwolenie zaproszenia swych przyjaciół na cygaro, zezwalam na to niby z największą chęcią, bo przecież wolę wiedzieć, że się bawią niż nudzą. Ponieważ zaś palenie cygar nie chcą panowie poświęcić dla nas, więc i my na pozór nie poświęcamy się dla nich.“ —

„Mam więc zatem słuszność pani, że czasem nie palę, chociaż damy same radzą mi do tego.“ —

„O zapewne, w tym jedynym razie, jest to cnotą nie usłuchać nas, gdyż pomiędzy dziesięcioma damami dają dziewięć pozwolenie, contre coceur. Nasze zezwolenie jest w tenczas tylko taktyką. Cygaro, mówiła potem pani Janowa daléj „jest trucizną dla zębów i nerwów. Jego dym wypędza dowcip z salonów — ono przesiąknie nie tylko włosy, ubiór palącego, ale całe jego usposobienie. To co my kobiety najwięcéj lubimy niszczy cygaro, żywość, natchnienie, słowem wszystkie idealne uniesienie, bo czyni ono samolubnym i starczy na pozór za wszelkie towarzystwo. Młody człowiek mający cygaro zdolny obejść się bez wszystkiego — nawet bez żony!...“

„W towarzystwie pani Janowéj, nie będziesz nigdy palił, pomyślałem sobie.“ —

Wieczorem tegoż dnia byłem sam z jèj mężem w pracowni tegoż. — Brunatnego koloru mebla i zasłony przypomniały mi niejako mimowolnie prawie cygaro, a pan Jan jakoby to odgadł spytał mnie w téj chwili:

„Lubisz mocne czy słabe?“

„Ależ twoja żona.....“ —

„Ani my ani ten pokój, nieobaczym ją już dzisiaj więc wybierz,“ dodał pokazując mi mnóstwo dobrze podróżnianych cygar, jakie tylko znawca mógł posiadać. —

„Spostrzegam dziś pierwszy raz, że palisz,“ odpowiedziałem z zadziwieniem.

„To dla tego, że w tym względzie, wielce na pewną etykietę zważam,“ odrzekł z uśmiechem.

„A ta jest?“ zapytałem.

„Nie palę nigdy we dnie, ani na ulicy, ani w obecności dam, ani w salonie, w powozie chyba, kiedy wracam ze wsi kariolką. Daléj nie palę w pokoju gdzie panie mieszkają ani nie zapraszam nikogo do palenia tamże. Kiedy zaś wypada mi być w jakim salonie po wypaleniu cygara, to ubieram się zupełnie inaczéj i płuczę w ustach. W towarzystwie zaś mężczyzn nie mówię nigdy o wartości cygara i palę jakie mi podadzą.“ —

„A cóż myślisz w ogóle o paleniu ich?...“

„Co myślę o paleniu ich!“ zawołał z zapałem, „oto, że człowiek palący dobre cygaro nie może być złym człowiekiem, bo woń hawanny miła i wdzięczna czyni go także milszym i lepszym, że palenie cygara rozprasza wszelki smutek i kłopot, że nieszczęśliwy wieszcz buduje sebie przynim złote zamki, kiedy tymczasem bogacza w poetyczne przenosi usposobienie.“

„A więc największe nieprzyjaciółki cygar, to jest damy nie mogłyby nic lepszego uczynić jak palić je także.“ —

„Na Boga!“ zawołał Jan, „do palenia trzeba koniecznie wąsów, a zaś kobieta nie powinna nigdy naśladować mężczyzn. Pamiętam dobrze, mówił daléj pan Jan z uśmiechem, „że kiedy w zeszłym roku jechałem z Warszawy do Łowicza, siedziała w jednym ze mną wagonie pewna sędziwa matrona, daléj jakaś bardzo młoda pani z swą służącą i ładny młody blondyn. —

Niedługo trwało a młoda pani wyjęła cygaro i zapaliła je. Matrona w wieku spojrzała nań z podziwieniem, ja uśmiechnąłem się nieznacznie, a młody człowiek zdejmując kapelusz rzekł uprzejmie: „Przepraszam panią stokrotnie, ale cygaro szkodzi mi. Odwołuje się zatem do rozpowszechnionéj tu reguły i proszę abyś pani zgasiła je!!

Obrażona piękność rzuciła najpierw pogardliwe spojrzenie na młodego blondyna, a potem cygaro oknem; i zasłoniła twarz welonem.

Na wygnaniu.

I.

Przedemną blado czerwieni się zorze
I lekkiem blaskiem ożywia sklepienie.
Słońce w téj stronie zachodzi — i cienie
Nocy wnet zbliżą się — — — — Boże!

Z jakimże żalem ostatnie promienie
Żegnam, — i ja tak wnet głowę położę —
I nigdy — nigdy nie zobaczę może,
Za czem wyrywa się z piersi westchnienie.

Tam w owéj stronie, gdzie niebo skrwawione,
Tamem zostawił ukochaną żonę,
I grono małych, ulubionych dziatek,
I dom pradziada wśród wieśniaczych chatek.
Dzisiaj przepędzam dni moich ostatek
Sam na wygnaniu, — dziś wszystko stracone.

II.

Przed laty wielu, — dziś włos mój już siwy, —
Jam żegnał żonę, szedł walczyć na boje,
Z czułością dziatki uścisnąłem moje,
Wyrwałem z objęć i szedłem w bój mściwy.

Ja biegłem walczyć za kraj nieszczęśliwy,
I za ojczyznę krwawe ponieść znoje;
A choć dręczyły srogie nie pokoje,
Weselem dla mnie był ten bój straszliwy.

Ale — ach — przygniótł ojczyzne kochaną
Wróg swemi więzy, — zajęknął kraj cały.
Synom ojczyzny za krew ich wylaną
Więzy, kopalnie w nagrodę zostały;
A mnie od żony i dziatek porwano
I tum się dotsał chory i znędzniały.

III.

I codzień rano, gdy słońce wstawało,
Twarz mą czemprędzéj zakrywałem w ziemi,
Bo mi na pamięć promieńmi swojemi
Przywiodło, że w ową stronę zmierzało.

Do kąd me serce pragnęło żądało,
Że świecić będzie nad braćmi mojemi.
A ja — ja nigdy nie ujrzę téj ziemi,
Gdzie wszystko to, co mi drogiem, zostało.

O! jam zazdrościł słońcu szczęścia tego.
Jam nie mógł wejrzeć na nie, bo mi z oka
Łzy zaraz gorzkie strumieniem się lały.
Czas nie złagodził bólu okropnego, —
I zawsze żałość w mem sercu głęboka,
Wspomninienia lepszéj przeszłości zostały.

IV.

Czasami tylko, kiedy wiosny tchnienie
Wzbudziło mały kieł trawki zielonéj,
Wtenczas w méj duszy rozpaczą zwątlonéj
Powstawał jakiś miły sen — marzenie.

Jam wołał: Boże! gdy wszystko stworzenie
Obudził promień wiosny powróconéj,
Czemuż nie wstanie mój kraj uciśniony?
Czyżże bez końca jest jego cierpienie?

I jam wytężył wszystkie siły ducha
I marzył ciągle, że wietrzyk z zachodu
O zmartwychwstaniu wieść do mnie przedmucha,
O nowem życiu mojego narodu.
I tą nadzieją kołysając ducha,
Nie czułem bólu — pragnienia — ni głodu.

V.

Lecz lata biegły, — ja ciągle cierpiałem, — —
Wnet moją głowę śron posypał siwy.
I tak w zwątpieniu czas wlókł się leniwy,
I znów tęskniłem i znowu bolałem.

Kiedy już żadnéj nadziei nie miałem,
Pocóżże znosić ten los nieszczęśliwy?
Pocóż ma trapić mnie smutek dotkliwy?
Jam wolał umrzeć, — ja śmierci żądałem.

Lecz Bóg żyć kazał. — Już ołów przegniły,
Który z kopalni wyniosłem dla siebie,
Wkładałem do ust. — W tem patrzę na niebie —
Tam na zachodzie zorza, — kraj tam miły — — —
I wnet mnie myśli grzeszne odstąpiły,
Bo kocham Boga i — Ojczyzno! — ciebie!

VI.

Czyż jeszcze wiele przeznaczył Bóg życia?
Wszak już sił niemam? Wszak członki zwątlone?
Wszak ręce drżące i nogi schodzone?
Wszak ledwo słyszeć można serca bicia.

O! może wyjdę wnet z tego ukrycia!
I tam — u Boga — ujrzę moją żonę,
Ujrzę tam może i dziatki lubione? —
Ale ojczyzna! — — — czyż wróci do życia? —

Ojczyzna droga! — — — a wtem już wzruszenie
Daléj starcowi przemówić nie dało,
Osłabł — na ziemię zsunęło się ciało.
A z ust półzwartych wypływa westchnienie
I te słów kilka: O Boże miłości!
Boże! — — — Ojczyzny! — Ojczyzny! — wolności! —

Władysław K.

Światło z magnezyi.

W dzisiajszych czasach postępu rozwija się przemysł ludzki z zadziwiającą potęgą. Świadczą o tém rozmaite coraz to dziwniejsze wynalazki i odkrycia tak na polu sztuki jako i rękodzieł. Cóżby nasi przodkowie powiedzieli na to, że dziś z onych ziemnych węgli, których oni zaledwie do palenia używali, wyciągają płyn oświecający nie tylko pomieszkania ale całe miasta; a teraz nawet z szczątków tych jeszcze węgli z których już gaz jest wydobyty, i które nie dawno jako do niczego nie zdatne wyrzucono, wyrabiaja rozmaite farby a nawet wyborne pachnidła; lub że ze starych do niczego już niezdatnych szmatków i skrawków, wyrabiają znów postawy najpiękniejszego sukna i materyi wełnianych. Tak postępując na drodze przemysłu dojdziem niedługo do tego, iż nie będziem ani drzewa ani węgli potrzebowali, i tylko wodą ogrzewać będziem nasze pomieszkania, o czém już w Ameryce myślą na seryo.

Niedawno też za pomocą chemii odkryto w glinie i glince nowy kruszczec nazwany Aluminum. Jest on podobny zupełnie do srebra, niema tylko ciężkości tegóż. Jego odkrycie sprawiło niezmierną radość pomiędzy badaczami przyrody i spekulującemi rękodzielnikami. Mniemano, że całe domy będzie można budować z tego niewyczerpanego źródła. Jednakże dotychczas praca około wydobywania jego cząstek jest bardzo kosztowną, i dla tego kruszec ten pozostaje drogim lubo tysiące centnarów znajdują się wszędzie pod naszemi stopami. Przecież jego lekkość, śliczny, trochę niebieskawy połysk, zapewniają mu świetną przyszłość wrzędzie kruszców i można się spodziewać, że z czasem znajdą się sposoby wydobywania go mniejszym kosztem.

Inny jeszcze gatunek ziemi, czyszczony w Aptekach i znany pod imieniem Magnezyi, znajdujący się w ziemi całemi pokładami jest również jak glina i glinka podług najnowszych badań, także tylko rdzą strawionym kruszcem. Magnezya jako ziemia, trafia się często i na naszych polach i uważaną bywa za szkodliwą dla roślin, zwłaszcza gdzie się w zbytniéj ilości znajduje. Z Magnezyum oprócz w medycenie — długo niewiedziano co począć, aż otóż naraz zajaśniała ona na polu przemysłowym tak świetnym blaskiem że nie tylko świece i lampy przyćmiła, lecz nawet z samem słońcem porównać się grozi.

W Londynie i Paryżu jest Magnezya obecnie przedmiotem najżwawszych rozpraw i prelekcyi, tak w zakładach naukowych jako i w świetnych salonach wielkiego świata. Niedawno pewien profesór przy uniwersytecie w Londynie w białych rękawiczkach i krawacie w zgromadzeniu najznakomitszych osób wyższego towarzystwa londyńskiego, po rozprawie bardzo zajmującéj, wyjmuje z kieszeni mały pakiecik, rozwija go ostrożnie pokazuje kłębek białych połyskujących blaskiem metalicznym nici, i obiecuje oświecić taką nitką cały salon światłem dziennem, przybliża koniec téj nitki czyli drótu do świecy a w mgnieniu oka rozchodzi się od nich światło tak jasne, że nikną przy nim lampy gazowe i olejne.

Zapalony drót magnezyowy wydaje niezmiernie jasny płomień, który się z wielką szybkością unosi w górę. Jedyne co temu cieńkiemu jak nić drótowi jest do zarzucenia jest jego niesłychana drogość. Funt bowiem kosztuje dotychczas 150 talarów. To też nie dziw że pan profesór w białych rękawiczkach i krawacie, zgasił go po kilku sekundach i zwinąwszy starannie schował do kieszeni.

Pomimo tego utworzyło się już w Manchesteru w Anglii towarzystwo, które zakłada fabrykę drótu Magnezyowego, i obiecuje oświecać całe miasta jasnością dzienną. Podług ścisłych obrachunków byłoby to światło raz jeszcze tak drogie jak gaz, jednakże są widoki, iż się wynajdą sposoby tańszego wyrabiania tego drótu.

Tymczasem używają światła magnezyowanego w rozmaitych zdarzeniach. Fotografiści za jego pomocą fotografują w nocy, lekarze oświecają nim rozmaite wewnętrzne bóle i rany i można się różnych korzyści w sztuce lekarskiéj spodziewać po nim. Na morzu świeci to światło w nocy o 10 mil odległości i przez to staje się bardzo ważnym przedmiotem w żegludze. Sygnał na morzu jasności stu świec woskowych nie kosztuje jeszcze trojaka, pięć razy mocniejsze światło dla fotografisty do zdjęcia portretu jednéj osoby, nie wyniesie ani złotego pol., na dwadzieścia sekundów. Cienki drót magnezyowy wydaje tyle światła co 70 świec woskowych. Przy ścisłych obrachunkach okazało się, że światło magnezyowe w sile dziesięciu świec woskowych wynosi na godzinę 9 trojaków, prawie więc dziesięć razy tyle co oléj.

Jednakże z czasem daleko taniéj drót magnezyowy da się fabrykować i do cienkości włoska rozciągnąć, a wtenczas jeszcze oświeci wielkie pokoje daleko jaśniéj niż wosk, gaz i oléj. Oprócz tego wielka korzyść wyniknie już z tego, że się obejść będziem mogli bez lamp, świeczników, i niebezpiecznego petroleum, bez pękania cylindrów i klonów, bez rozlewania po podłogach i sprzętach oleju, a zatem ujdziemy niejednéj sprzeczce domowéj, niejednemu niemałemu wydatkowi w gospodarstwie. Zawiesim u sufitu paczkę drótu magnezyowego i gdy ognista kula oświecając naszą ziemię, ukryje się przed naszemi oczyma i zmrok wieczorny nastanie, w tenczas drót magnezyi zastąpi jéj miejsce. Są to zaiste świetne widoki! Choć w prawdzie jeszcze nie bliskie urzeczywistnienia.

Rozmaitości.

— Do spekulantów Hoff, Daubitz itd. bogacących się niedołęstwem ludzkości, przybył teraz Jacobi ze swoim „Königstrank" (królewski trunek). Jacobi uczył dotąd listownie języka francuskiego i angielskiego. Na ten lep głupców było za mało, wynalazł więc „królewski trunek", uniwersalny, leczący i pokrzepiający środek, uderzył w obwieszczenia gazeciarskie na ogromną skalę, zdumiewające zuchwałością publikowanych świadectw, oryginalnością ortografii i robi majątek. Spekulacya ma w sobie coś despotycznego. W Moskwie powiadają, że jenerał będzie czém mu każą: i profesorem fizyki i stróżem podwórzowym, pruscy cywilizatorowie przerzucają się na olejkarstwo, byle handel szedł. Biedni my, biedni; nam w téj szalonéj manipulacyi bogacenia się przypada najważniejsza rola, płacenia; inni wymyślają, my kupujemy, tak bywało i jest.

— Monitor de Algieren przyniósł pierwszą wiadomość, co cesarz Napoleon wypowiedział do Arabów: „że chrześcianie i mahometanie są jego dziećmi". Cesarzowa rejentka przeczytawszy to wyrażenie się szanownego małżonka zauważała, że to jest niczém inném tylko „utworem bujnéj jego fantazyi".

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha.